

## KUBICYNA Z NIEZDARY

Kiedy babcia mówiła przez sen, bałam się jako mała dziewczynka i uciekałam do kuchni. Myślałam wtedy, że postaci z jej snów wyjdą i będą mnie gonić, dopraszając się właściwych przeróbek. Potem przywykłam i gdy znów zaczynała swój nocny monolog, przetkany kanonadą pochrapywań dziadka, mocno przywierałam do jej pleców i spijałam każde słowo. Zapamiętywałam je, a później brałam moją ukochaną potarganą lalę, którą uszyła mi babcia jeszcze na chrzciny i udawałam, że jestem jedną z nieznośnych klientek z jej snów:

Co to znaczy, że krój jest dla szczupłych? Ma być mocno wytaliowana!

To wykończenie koronkowe miało być z pikotką!

Mnie pyta jaki ma być dekolt?! To wy jesteście krawcową!

Wcale nie wciągam brzucha! Zamiast mówić, proszę mierzyć.

Skandal, podróbka! To jest papier ścierny, a nie jedwab!

A może odprułaby ten kołnierzyk i zrobiła w serek?

Dlaczego to jest takie ciasne? Ja na pewno nie przytyłam!

I życzę sobie szczypanki w pasie po obu stronach!

Ja mówiłam, że chcę w serek?! Na pewno nie! Niech zrobi w karo!

To proszę zrobić wstawkę, ale tak, żeby nie było widać!

To jest ścieg czy fastryga? Zaraz się wszystko rozleci!

Jednak nie chcę dekoltu. Zrobi mi tu wysoką stójkę!

Nie ja robiłam przymiarkę. Trzeba było robić, a nie gadać!

To ma być eleganckie?! Bez bufek i trenu ja się stąd nie ruszam.

A kiedy babcia przytapywała mnie na tych zabawach, nadziwić się nie mogła jak szybko złapałam krawiecki żargon.

Słyszałam kiedyś jak jedna sąsiadka opowiadała przyjezdnej o mojej babci: *Niezdara. W Niezdarze się wszystko zaczęło. Zaraz po wojnie, wiadomo, nic nie było, ani wełny, ani nylonu, wszystko poszło na mundury dla wojska, jednak każda która choć trochę umiała, coś sobie tam sama szyła. Ale była w naszej wsi jedna taka co umiała bardziej, więc niektóre dziewczyny, nawet te z okolicznych wsi i miast, wybierały się do niej, prosząc o pomoc. Mówiły: idziemy do Niezdary. Ale nie chodziło im o krawcową, bo ta miała na imię Helena, tylko o naszą wieś. Taką miała nazwę - Niezdara.*

W domu od zawsze było pełno kobiet, tak mawiała babcia. Ja mam siostrę Anię, moja mama ma siostrę Wandę, a ta z kolei ma córkę Kaśkę, która o wszystko się zawsze kłóciła, to moja druga siostra, ale cioteczna, a mama mojej mamy i ciotki Wandy, czyli moja babcia Helenka, która mawiała, że w domu od zawsze było pełno kobiet, miała trzy siostry, Staśkę, swoją prawą rękę, Jankę, która od zawsze i wszędzie jeździła na rowerze oraz Józię, która umarła młodo, ale zdążyła urodzić trzy córki: Urszulę, Lidkę i Marysię, którą lubię najbardziej do tej pory i której czasem szkudziłam w szufladach. Oczywiście jest też mój tata, który denerwuje się, że mu baby ciągle mówią jak ma żyć oraz dziadek Władek, z którym wieczorami tańczyłam przed telewizorem kiedy jeszcze żył, ale żaden z nich nie wtrącał się w sprawy domowe, mówiąc, że nic ich to nie obchodzi, ale moim zdaniem trochę się po prostu bali, a potem przywykli. Kiedyś była jeszcze prababcia Antosia, której już nie pamiętam, ale najważniejsza w naszym domu zawsze była babcia Helenka. Helena. Pani Hela. Kasjerka. Kubicyno. Tak na nią mówili i już nie pamiętam jak jeszcze. I to właśnie babcia Hela ściągała do naszego domu jeszcze więcej kobiet.

Oj, przychodziły różne dziwolągi, śląskie baby co najwięcej szanowały wiarę i tradycję, grube babsztyle, co to zawsze się dziwiły, że trzeba na nie materiału tyle co na kanapę, wielkie paniska, co to igły nie umiały nawlec, ale patrzyły na Kubicynę z wyższością. Ona nic sobie z tego nie robiła, tylko pytała co ma być, jaki krój, robiła pomiar i przyjmowała materiał, bo zazwyczaj trzeba było samemu go zdobyć. Babcia oczywiście miała jakieś zapasy, ale trzymała go na swoje wnuczki. Większość jednak kobiet to były te miejscowe z Niezdary, znajome, sąsiadki i z pobliskich wsi. Jakie by nie były, stare, młode, skromne czy zadufane - łączyło je jedno - jak przychodziły na przymiarkę, rozbierały się do halek i tak siedziały bez wstydu, traktując salon Kubicyny jak własną garderobę.

Pamiętam taką bardzo ładną panią. Bardzo ładną i bardzo smutną. Powiedziała: *mam 6 jaj, 30 deko mąki i całą kankę mleka. Uszyje mi pani za to sukienkę?* A Helena: *a na co to ma być sukienko? Komunio, zaślubiny czy na niedzielę?* A ona odpowiada: *taka po domu, żeby nosić na co dzień. Jak po domu to z takiego samego kawałka materiału ja pani zwykłam zapaskę uszyja i fartuch. Ale ona: nie. Aż sama się zdziwiła tym swoim: nie, bo całutką wojnę nikomu się nie sprzeciwiła. Ja całutką wojnę, wszystkie 6 lat przechodziłam w jednym starych fartuchu po mojej mamie. Ja w tym fartuchu*

w piwnicy się chowałam i w tym fartuchu siostrę opłakiwałam i w tym fartuchu po kolana w błocie uciekałam i w tym fartuchu zgniłe ziemniaki z ziemi wyjadałam i w tym fartuchu do domu zburzonego wracałam i w tym fartuchu jak wojsko przyszło... i w tym momencie przerwała, bo łzy jej całą buzię zalewały. Ale Helena nie mogła się nadziwić: *to w czym bydzie pani przy domu robić?* Za tę odpowiedź ją pokochałam: *poproszę sukienkę. Może być w kwiaty, romby, paski, kropki, biała, zielona, pstrokata, dziergana, plisowana, z przeszyciem, marszczeniem, z koronką czy mankietami, dekolt okrągły, głęboki, kwadratowy, halterneck pod szyję, z kołnierzykiem lub stójką, na guziki, zamek, troczki, zatrzaski, albo taka zwykła szara, obojętnie, byleby to była... sukienka.* I udało się, babcia oczywiście się zgodziła i nawet nie chciała wziąć jajek, ale ona bardzo nalegała i była jeszcze piękniejsza i taka szczęśliwa, że znowu płakała, ale czy ze szczęścia to nie jestem pewna.

A wcześniej jeszcze w trakcie wojny bywał też jeden niemiecki wojskowy, zawsze schludnie ubrany i choć był niezwykle szarmancki, to jak tylko się zjawiał, salon u babci pustoszał w sekundę. Wszystkie sąsiadki przypominały sobie o zupie na piecu, zostawionej pod kuchnią duszy do żelazka, albo dziecku do karmienia. Babcia wysyłała mnie po kawę dla żołnierza, ale on dziękował: *Przyszyłaby mi pani guzik do marynarki?* - pytał i dodawał: *Bo żołnierz musi być porządny.* Zostawiał zawsze coś w zamian i był tak kilka razy u babci Helenki, bo ten mundur to była jego namiastka normalności, życia bez wojny, dbania o szczegóły. Ale potem poczuł władzę i że mu wszystko wolno i już nie był ani szarmancki, ani porządny, tylko wchodził bez pukania kiedy czegoś potrzebował, bo odkąd poczuł władzę i że mu wszystko wolno to nigdzie nie pukał tylko wchodził. A w jednym domu na skraju wsi, było otwarte to nawet drzwi nie musiał wyważać, tylko wszedł prosto do kuchni, gdzie siedział ojciec rodziny z trzema córkami i ojca zabrał, bo taki miał rozkaz, wyszedł z nim, a wrócił sam, do córek wrócił, bo jedna z nich, ta najładniejsza bardzo mu się spodobała, aż strużki potu zlatywały mu po plecach, jak dziewczynie łzy po zabranym ojcu, jedna po drugiej. Kazał się jej położyć na ziemi, sam chciał ją rozebrać, bo tak lubił i zaczął rozwiązywać jej fartuch, a że węzeł był mocny, to szarpnął tak, aż mu znowu guzik marynarki odpadł, ale węzeł wcale nie puścił, więc tylko podkasał jej fartuch, potem zapaskę, a dziewczynie grochy takie wielkie po buzi ciekły, a potem wyszedł i więcej nie wrócił, poszedł do innych ludzi nie pukać, zabierać ojców i brać ładne przestraszone dziewczyny. Zaraz przed końcem wojny zjawił się tutaj ostatni raz, poprosił panią Helenę: *przyszyłaby mi pani guzik do marynarki?* I dodał: *Bo żołnierz to musi być zawsze porządny.*

Mało kto brał na poważnie kosmonautki, żyły w innym świecie, nie rozumiały naszego i nawet nie próbowały go zrozumieć. Ale ponieważ ich mężowie nieźle zarabiali, to i one nie szczędziły grosza na swoje szmatki, a płaciły nie jajkami i masłem, tylko prawdziwymi złotówkami, zawsze na czas i zawsze szczerze. Tak na nie wszyscy mówili żartobliwie - kosmonautki. Ale ta jedna to naprawdę spadła z kosmosu: *chciałabym, żeby uszyła mi pani sukienkę jaką w La Dolce Vita w scenie fontanny di Trevi miała Anita Ekberg*. A moja kochana Helenka na to: *Anitka od Berków, ja?* A tamta: *nie, Anita Ekberg w filmie Felliniego*. Babcia zapowietrzyła się, ale nie ze złości, tylko raczej, żeby się nie rozeźmiać. *Nie widziała pani La Dolce Vita?!* - z oburzeniem zapytała druga kosmonautka, bo te zawsze chodziły parami, albo od razu całą grupą, żeby czuć się pewniej. Pierwsza chyba mimo wszystko chciała trochę się wytłumaczyć: *mąż miał lot do Włoch akurat, dlatego materiały przywiozłam, pani nie wie, na Zachodzie to modna jest kremlina teraz... no i byliśmy przelotem w Rzymie, bo w kinie chciałam taki jeden film zobaczyć*. Ta druga jej przerwała, znów zwracając się z wyrzutem do babci: *No Felliniego to chyba pani kojarzy?!* Ale babcia nie kojarzyła. Dlatego właśnie we wsi wszyscy mówili na nie kosmonautki, bo nie dość że były żonami pilotów, to miały nierówno pod sufitem i bujały w obłokach. Ale babcia nie obrażała się, tylko tłumaczyła: *no ale my ni mamy nawet telewizora, najbliżej w Ożarówicach u kuzyna*. Kosmonautki zaniemówiły, bo do głowy im nie przyszło, że nie każdego stać na Wisłę albo Belweder, już nie mówiąc o kinie, którego i tak nie było, bo najbliższe, kino Zacisze w Piekarach Śląskich, miało powstać dopiero pół wieku później, więc powiedziała tylko: *czarna, długa, bez razmion, Anita Ekberg, Dolce Vita, scena w fontannie, cena nie gra roli*. I wyszły obie. Ale ta druga zaraz wróciła i dodała: *tylko te ramiona niech jej pani trochę zakryje, bo jednak ma za pulchne*.

Mężczyźni u babci rzadko się pojawiali, raczej kobiety, które potrzebowały coś dla syna albo męża. Całe szczęście, bo i tak było mi jakoś głupio jak te panie się rozbierały, otwierałam wtedy szufladę z guzikami i udawałam, że czegoś szukam, a czasem trochę podglądałam jakie mają halki, albo pończochy. Ale potem wchodził dziadek Władek z talerzem zupy, grzecznie się witał i siadał przy stole, bo kuchnia za mała i nie było tam stołu. Szturczał mnie łokciem i zagadywał, jakby tych kobiet w halkach wcale nie było, albo jakby siedziały w kożuchach, a ja modliłam się tylko, żeby nie pytał czemu jestem cała czerwona jak burak. A zamówienia były różne. Komunie, śluby, pogrzeby, ubiory codzienne i na niedziele, zawsze było coś do roboty, a jeszcze trzeba było wokół gospodarstwa chodzić, krowy wydoić, świnie oporzędzić, domowników nakarmić, masło i sery

porobić, więc we wszystkim pomagała Kubicyńce jej siostra Stanisława, na którą wszyscy mówili Staśka. Niewysoka i niepozorna, za to sprawna w pracy i w języku, pięknie śpiewała *O mój Jezu, jak Ty klęczysz w Ogrójcu pokrwawiony, tam Cię anioł smutku cieszy, skąd był świat pocieszony*. Śpiewała to wykańczając i podwijając sukienki, fastrygując, ale też robiąc makaron na niedzielny obiad na tym samym stole, na którym Kubicyńca kroїła materiały. Ze swoim szwagrem Władkiem tworzyli niezwykły duet, wołał ją *Staśka, idymy przewracać siano*, a ona chciała czy nie, rzucała wszystko i w deszczu czy spiekocie szła za Władkiem przewracać to cholerne siano. Kłócili się o to czy stawiać kopki siana czy rozrzucać, bo słońce, bo deszcz... Staśka była jak taka druga żona Władka, ta od kłótni i wspólnych wędrówek i gdyby nie to, że była kulawa i nikt się nią nigdy nie interesował, może i Kubicyńca była by o nią zazdrosna. Ale nie była. A kiedy zmarł dziadek Władek, zaraz za nim zmarła i Staśka, poszli chyba razem przewracać to siano na niebieskich pastwiskach.

Dziewczyna była młoda to i nie wiedziała jeszcze, że Pan Bóg się podśmiechuje kiedy człowiek życie planuje i wymarzyła sobie taką z lekkiej zagranicznej koronki: *chciałabym oczywiście białą, ale nie do końca białą*, bo i ta jej niewinność lekką skazę miała, bo z chłopakiem to się już dobrze "znała" i dlatego ta jej biel to bardziej jakby z mleka. *Długą, żeby przykrywała czubki butów, a z tyłu jeszcze dłuższą z lekkim trenem, ku dołowi powinna lekko się rozchodzić i gdzieś na wysokości dwudziestu centymetrów mieć atlasową wstążkę dookoła i u samego dołu może być krawędź muszelkowa, a przy szyi to najlepiej stójka, z wypustką i falbanką około centymetra, żeby nie całą szyję zasłonić, tylko część, a pod wypustką niech jeszcze wstążka będzie, z kokardką, też atlasową, to będzie się lekko mienić...* i tak planowała co do centymetra, bo myślała, że ma jeszcze całe metry, ba, kilometry życia przed sobą. *A rękawy to koniecznie z bufkami, ale nie tak mocno marszczone, tylko lekko ramiona podnoszące, jakby tam pianka bezowa się schowała i długie aż do dłoni, zwężane od łokcia z dwudziestką guziczków powlekanych taką samą atlasową materią co wstążka, żeby ładnie światło łapały i zapinanych na pętelki, bo chyba będzie ktoś do pomocy, żeby te guziczki pozapinać?* Do pomocy pewnie ktoś by się znalazł, tylko to słońce co o nim tak marzyła, nie chciało dłużej nad nią świecić. *A welon długi, aż do ziemi, stykający się z trenem, jak w bajkach, we włosach to chciałabym kwiaty, może goździki różowe i kremową różę chińską, żeby twarz mniej blado wyglądała i włosy luźno rozpuszczone, opadające na ramiona, to zawsze jest rześkie i dodaje świeżości, bo tego dnia chciałabym, żeby choć raz wszyscy na mnie patrzyli.* I tego dnia wszyscy na nią patrzyli, ale żadne kwiaty, choć było ich wiele nie przemogły bladości jej lic, a welon to miała długi. *I marzy mi się, żeby on mnie nie zobaczył wcześniej niż kiedy przed ołtarz wejde...* a weszła

prosto pod koła tydzień przed ślubem, nie zauważyła go, on za szybko jechał, śpieszył do niej na spotkanie i ona do niego, a welon dłuższy miała niż w bajkach nawet i rozłożył, całą twarz jej zakrywał, żeby nie było widać jak niewiele z niej zostało.

Kiedyś przyszedł do babci liścik:

*Ja chciałam taki płaszcz ortalionowy  
na deszcze, słoty i niepogody,  
do kina, teatru i na jagody,  
na potańcówkę i na podchody,  
do wychodka i w królewskie ogrody,  
w końcu mówią, że to ostatni krzyk mody,  
koniecznie kolor seledynowy!*

*Ale proszę pamiętać, że płaszczyk nie może być pistacjowy, ani miętowy, nie limonkowy, nie turkusowy, khaki, oliwkowy, szmaragdowy, nie sosnowy, butelkowy, malachitowy i na pewno nie patynowy, ani zieleń szałwiowa, ani bazyliowa, piklowa, krokodylowa, ani zieleń morska, wiosenna, zgniła, ani nawet nie zieleń Veronese'a, tylko po prostu płaszczyk seledynowy!*

Kubicyna nie wzięła tego nazbyt poważnie, ale na kopercie był adres nadawcy, więc odpisała z zapytaniem o wymiary. I naprawdę wymiary przyszły, również pocztą, a pod nimi adnotacja:

*W takim razie jak przystało na praktyczną Polkę, biorę dwa! Jeden za mały, żeby w końcu schudnąć i jeden za duży gdybym jednak przytyła.*

Dwa tygodnie przed swoją I komunią, babcia szyła mi białą sukienkę. Mama powiedziała, że mogę przecież ubrać sukienkę po Ani, mojej starszej siostrze, ale babcia uparła się, że uszyje też specjalnie dla mnie. Małe bufki i delikatny kołnierzyk, a od pasa w dół miała być lekko rozszerzana. Babcia obiecała mi także, że będzie... plisowana! Mama mówiła, że to lekka przesada, ale mi zawsze się taka marzyła. Zresztą sukienka została już oddana do pracowni Plis Endel w Tarnowskich Górach, gdzie dwie siostry plisowały podwinięte już części na specjalnej maszynie parowej. Na taką pracę czekało się z tydzień, a potem była już tylko ostatnia przymiarka u babci. Helenka poprosiła mnie, żebym stała prosto i zaznaczała gdzie zebrać jeszcze materiał, a innym paniom kazała czekać. A że kobiety wtedy to plotkowały przy szyciu i potrafiły tak godzinami

siedzieć w samych halkach i dyskutować, to bywały i takie które nic nie zamawiały, dla towarzystwa tylko przychodziły, czasem coś pomagały przytrzymać lub uciąć. I właśnie wtedy kiedy stałam na środku salonu i przymierzałam prawie skończoną bielutką sukienkę, wbiegła do salonu Janka, koleżanka która też szykowała się do komunii. I nie odwracając wzroku od mojej plisowanej sukienki, powiedziała do swej matki, która siedziała w grupie plotkujących bab: *Łojciec mnie przysłał i pedział: dyć leć po matkę, kaj jes mój łobiod?* No i jej matula szybko wyszła, ale już dzień później błagała moją babunię o sukienkę dla swojej Janki, tak jej ta mała krwi o nią napsuła.

Starszy, wysoki, piękny mężczyzna z ogorzałą twarzą, ciemnymi oczami, wydatnym nosem, pełnymi ustami i kruczo-czarnymi brwiami wszedł do salonu, powiedział: *łácho cywes*, co w ich języku znaczy *dzień dobry* i pokazał te swoje dwie kobiety, jakby były jego własnością. Wyglądały jak siostry, ale jedna była matką, musiała szybko urodzić. A ta druga śliczna jak młoda Przybylska, choć ojciec trzymał ją za kark jak psa, nie wyglądała na kogoś kto mógłby być czyjąś własnością. Matka i córka milczały, chyba nie mogły bez pozwolenia, więc on mówił: *siun*, czyli *słuchaj, tu jest stara Romni i terni Romni, ja chcę kupić podzia, dwa podzia dla Romni, ale długie, siun, ja nie płacę maro, purum, ani upki, tylko lowe, lowe*, bo lubił podkreślać że ma pieniądze. A w kącie stał chłopiec na posyłki, który w salonie zjawił się przez przypadek, a może właśnie nie przez przypadek, i nic nie słyszał, bo ciągle gapił się na tę młodą, nawet nie zorientował się kiedy starszy pan z ogorzałą twarzą groźnie na niego spojrzał, bo nie życzył sobie żeby na jego córkę tak patrzeć, nie życzył sobie żeby w ogóle patrzeć. I zostawił te swoje kobiety o ciemnych oczach, a sam wrócił do białej limuzyny, również swojej, ale jak wychodził to jeszcze zatrzymał się przy jednej pięknej spódnicy co wisiała dla innej klientki i powiedział: *siukar da podzia*, po czym zerwał ją z wieszaka i rzucił na podłogę plik banknotów, bo nie chciał by inne kobiety miały coś równie pięknego jak jego. Chłopiec na posyłki oczywiście został wyproszony, bo nie wypadało, żeby byle chłystek w dziurawych spodniach i flanelowej koszuli w kratę stał i się gapił na przymiarkę. A kobiety starszego pana z ogorzałą twarzą, ciemnymi oczami, wydatnym nosem, pełnymi ustami i kruczo-czarnymi brwiami otworzyły wielki kufer i zaczęły wyciągać materiały w kolorach jakie tylko chciałaś, a w fakturze takie, że Kubicyno nie miała odwagi nawet ich dotknąć. A chłopiec na posyłki pobiegł do wsi i wypytywał kolegów kto zna choć trochę ich język, ale nikt nie znał i w końcu natrafił na miejscowego przybłędę, który często spał nad Świerklańcem i dowiedział się, że ma powiedzieć: *sał bary szukar*. A ta dziewczyna, co wyglądała jak mała Przybylska, nie zwracała uwagi ani na kolory materiałów, ani na ich jakość, gdyż rozglądała się za chłopcem na posyłki, który przed chwilą

zniknął. A chłopiec, który przed chwilą zniknął był już z powrotem i raz po raz przeczesując swoje białe włosy, czekał pod domem na nią, na Ciarkę, bo tak miała na imię i już wkrótce miał się dowiedzieć, że ona też go szukała. A także, że z bliska jest jeszcze piękniejsza, więc zaraz jej powiedział: *sał bary szukar*, co znaczyło: jesteś bardzo ładna. A ona nieśmiało go pocałowała i umówili się na wieczór po drugiej stronie jeziora. Chłopiec o białych włosach był tak szczęśliwy, że zamknął oczy, a kiedy je otworzył, Ciarki już nie było, mignęła mu tylko jej kolorowa spódnica, więc od razu pobiegł w stronę jeziora, żeby tam czekać na nią. I kiedy zrobiło się całkiem ciemno, szła pośpiesznie, prowadzona intuicją kobiecą, a także tą która jej naród gna z jednego miejsca w drugie. Z daleka już wypatrzyła jego białe włosy i serce zaczęło jej tłuc w piersiach. I on też ją ujrzał z daleka. *Ciarka*, wymówił jej imię bo oprócz *sał bary szukar*, tylko to umiał powiedzieć, a i ona niewiele znała z jego języka, ale nie w celu nauki obcych języków się spotkali, tylko tych drugich. Zdziwiła się własną śmiałością i pozwoliła mu na wszystko, bo nie była świadoma, że tak szybko w jej młodym ciele może począć się nowe życie. A kiedy było po wszystkim, on się czuł najszczęśliwszy na świecie, jak to zwykle bywa w takich historiach i wciąż tylko powtarzał: *Ciarka, Ciarka*, tak bardzo mu się to imię podobało. A ona wróciła do swojej rodziny i jak to zwykle w takich historiach bywa, wciąż tylko tęskniła do chłopca o białych włosach, a kiedy zrozumiała, że jej brzuch rośnie, uciekła ponownie, obiecując sobie że więcej już tutaj nie wróci. A chłopiec tak się ucieszył kiedy ją zobaczył, że od razu poprosił ją o rękę, a kiedy się zgodziła i pokazała swój brzuch, to myślał, że chyba wybuchnie ze szczęścia. Ale nie wybuchł, tylko przedstawił Ciarkę rodzicom, a potem nauczył ją polskiego. A Ciarka urodziła ładnego syna o jasnych włosach i ciemnych oczach, nadała mu imię *Weszo*, bo w jej rodzinie, którą zostawiła była tradycja, żeby syna nazywać po dziadku, a tak właśnie miał na imię starszy, wysoki mężczyzna z ogorzałą twarzą. A chłopcu, który też stał się mężczyzną, wydawało się, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, no a przynajmniej na wsi, bo już nie był chłopcem na posyłki, tylko miał najładniejszą żonę w okolicy, co wyglądała jak młoda Przybylska, albo i jeszcze ładniej. Ale Ciarka wcale nie czuła się najszczęśliwszą dziewczyną na świecie, ani nawet na wsi i choć jej synek był śliczny i zdrowy, a mąż bardzo ją kochał, nie wytrzymała także i tej próby wierności - gdy tylko jej tabor znowu pojawił się w okolicy, uciekła. I jak to w takich historiach bywa, śliczny chłopiec o jasnych włosach i ciemnych oczach więcej nie zobaczył swojej mamy i dłużej nie nazywał się *Weszo*, tylko *Władek*, a jego ojciec już nie był najszczęśliwszym mężczyzną na świecie, ani nawet na wsi, gdyż więcej nie zobaczył swojej Ciarki, bo tak o niej myślał: *moja Ciarka*, choć wiedział przecież, że nigdy do nikogo nie będzie należeć.

Pani Kuś nigdy nie przyjeżdżała z panem Kusiem, tylko z jakimś innym panem, którego przedstawiała jako swojego przyjaciela i mentora, ale jakim przyjacielem i mentorem był, wszyscy wiedzieli, a ponieważ pani Kuś mieszkała daleko od Niezdary, a nawet bywała za granicą, nikt nie wiedział jak wygląda pan Kuś, czy żyje i czy kiedykolwiek istniał, a pytać nie wypadało. Za to pan przyjaciel i mentor towarzyszył pani Kuś zawsze, nigdy się nie odzywał, za to bacznie się przyglądał, jak gdyby kontrolował czy aby każda przymiarka, wybór materiału, każde szycie odbywa się z należytą starannością. Pani Kuś natomiast odzywała się dużo i głośno, wszędzie jej było pełno, paradowała w samej halce, godzinami deliberując o tym jak ciężkie jest życie nauczycielki: *odpowiedzialność jaka, płaca żadna, a wszystkim się wydaje, że nauczyciele to po prostu pasjami zajmują się cudzymi dziećmi, szanowna pani, a dzieci coraz bardziej krnąbrne i pyszczate, za uszy bym wszystkie wytargała, na grochu wyklęczała, w kącie, w oślej ławce posadziła, ale kątów w klasie tylko cztery, a ośla ławka jedna!, linijką po łapach bym ich uczyła, gałgany jedne, a mańkutom to te lewe ręce bym powięzła, żeby przestały nimi pryciać po tych piórnkach i zeszytach, a szacunku za grosz i płaca żadna, szanowna pani, gdybym mogła jak pani być krawcową... trajkotała tak, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że większość klientek płaci jajami i że samą krawcową nie byłoby stać na kreacje jakie zamawiała pani Kuś, ba, nie stać było na nie nawet samej pani Kuś! Za to stać było przyjaciela pani Kuś, a ona choć była tylko nauczycielką, garderobę miała wymagającą. Raz jeden przyjechała także i z dziewczynką, która najwyraźniej nie była córką przyjaciela pani Kuś bo zwracała się do niego „per pan papa”. Całą ich wizytę oglądała album ze znaczkami, który przywiozła ze sobą. Ciągle szukałam pretekstu, żeby podejść bliżej i obejrzeć co dokładnie tak gorliwie ogląda, a kiedy wreszcie się udało, podeszłam bliżej, okazało się, że to klaser, wypełniony strona po stronie znaczkami z wizerunkami małych Hitlerów. Tak się wtedy oburzyłam, bo już wiedziałam kto to jest Hitler, że zapiekłam się cała i na głos powiedziałam, że to skandal i że... i że nie obsługujemy Niemców! Wymyśliłam to na poczekaniu oczywiście. Mama mnie wtedy wzięła za rękę, wyprowadziła po cichu i pierwszy raz dostałam od niej lanie. Pierwszy i ostatni. Wiem, że dziewczynka potem ten klaser zniszczyła, tak się przejęła. Teraz trochę żałuję, byłaby pamiątka po tamtych czasach.*

Byłam już trochę starsza kiedy przyszła kobieta, która tak bardzo się wstydziła, tak się wstydziła, że miałam ochotę sama za nią mówić, ale nie wiedziałam przecież co, a ona tylko: *chciałabym... ja chcę... poproszę... ale nie wiem czy mnie pani dobrze zrozumie, czy pani w ogóle robi takie rzeczy?*

chyba nie, sama sobie odpowiadała i już chciała wychodzić, ale przy wyjściu było lustro i machinalnie spuściła wzrok, a potem cofnęła się i zatrzymała się przy lustrze, spojrzała w nie i to wtedy postanowiła, że nie chce całe życie omijać luster i się przemogła: *czy może pani uszyć sukienkę z piersią w środku? Nie, nie chodzi o żadne push-upy, ani powiększenie, szybko zaczęła się tłumaczyć, tylko chciałabym, żeby w sukienkę wbudowana była jedna pierś, lewa pierś, bo tej jednej nie ma i już nie wróci.* Potem amazonka się ośmieliła i przyznała, że przez całe życie nie miała na sobie ani jednego stanika, nie lubiła po prostu. A piersi miała piękne, duże i kiedy jednej zabrakło, różnica była znacząca. Ale babcia powiedziała, że w życiu czegoś takiego nie robiła, że przecież są specjalne firmy, które pomagają takim jak ona i chciała ją odprawić z niczym, ale zobaczyła w jej oczach, że to nie jest kobieta taka jak inne, i że więcej nikogo nie poprosi o pomoc, bo właśnie jej zaufała i musi to zrobić. I babcia uszyła dla niej tę sukienkę, a amazonka wyglądała w niej cudnie. A potem poprosiła krawcową o taką samą bluzkę z piersią i jeszcze jedną sukienkę. A potem słuch o niej zaginął, wyjechała do Niemiec podobno na leczenie i myślałyśmy z babcią, że już chyba nie wróci, ale wróciła po kilku latach i tym razem poprosiła o sukienkę z dwiema piersiami. Babunia mocno, mocno ją objęła, przyciskając do siebie tę płaską, prawie wklęsłą klatkę piersiową, a potem się rozpłakała, a amazonka nic nie płakała, tylko cieszyła się że żyje.

Jak większość staruszek i babcia zmniejszyła się niedługo przed swoją śmiercią, a umarła wcześniej. Ale różnica jest taka, że ona wcale się nie skurczyła, tylko ją przygniotło. Na własne życzenie przygniótł ją ciężar tych wszystkich kobiet, bo one nie przychodziły uszyć sukienek, bluzek, spodni i marynarek, przychodziły podzielić się swoim życiem. A kiedy ją tak setki kobiet swym życiem obdzieliło, nie starczyło już miejsca na własne, a i ciężar za duży, żeby go dźwigać, za stara była, za słaba. O tu, przy oknie stoi cały czas maszyna, *moja Singerka*, tak na nią mówiła, a potem był łuczniczek. Obok stół do prasowania, potem drzwi do sieni i piec, tak, tu na pewno stał piec, obok amerykanka, na której siadały klientki, dalej drzwi do sypialni, kredens z materiałami, lodówka, okno na północ i znowu kredens, ale z lustrem, o jest tutaj nadal. A na środku stał stół z ceratą i dwiema szufladami... W jednej były guziki, w drugiej Pismo Święte, takie bardzo stare, z czarno-białymi rycinami. Babcia pozwalała mi je oglądać, ale trzeba było uważać, żeby nie zagiąć, ani nie podrzeć, mówiła, że to Pismo pamięta jeszcze jej prababcię i że przeżyje nas wszystkich. Za to nigdy nie lubiłam tej szuflady z guzikami, a były przeróżne, kolorowe i czarne, szare i białe, wielkie okrągłe i małe kwadratowe. Dziadek, trochę na przekór babci, wkładał tam sztuczki, bo jadał przy stole obiady. Nie wiem czemu nie lubiłam tej szuflady, chyba kojarzyła mi się jakoś z przemijaniem

i bałam się, że jak zabraknie guzików, to babcia umrze. I pewnego dnia umarła, po cichu, skromnie, zachowując w sercu wszystkie sekrety tych kobiet, które u niej szyły. Pismo święte też zniknęło, gdzieś się zapodziało, za to guziki się ostały, wcale nie zniknęły, ciągle leżą w szufladzie, walcząc o swoje miejsce ze sztućcami.

Katarzyna Błaszczyńska

Katarzyna Błaszczyńska - absolwentka Wydziału Aktorskiego oraz Wydziału Reżyserii Filmowej i Telewizyjnej, kierunku Scenariopisarstwo w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej Telewizyjnej i Teatralnej im. L. Schillera w Łodzi. Od 2012 roku aktorka Teatru Śląskiego im. S. Wyspiańskiego, gdzie zagrała kilkanaście ról. Jej dwa teksty „#VQRV” oraz „Młynarski. Chory na muzykę” zostały zrealizowane także na deskach tego teatru. Stypendystka Marszałka woj. śląskiego w dziedzinie kultury. W roku 2018 współtworzyła spektakl "Staś i Zła Noga", (jako autorka adaptacji oraz aktorka), licznie nagrodzony na festiwalach w całej Polsce. Za adaptację komiksu do tego spektaklu otrzymała m.in. wyróżnienie dramaturgiczne w 25. Konkursie na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej oraz Nagrodę Stowarzyszenia Autorów ZAiKS na IV Festiwalu Małych Prapremier w Wałbrzychu. W grudniu 2019 r. wyreżyserowała własną sztukę dla dzieci „O jeżu Jerzyku, co nie mógł zasnąć” w Teatrze Gry i Ludzie w Katowicach.